

STANISŁAW KAROLEWSKI VEL SZARLATAN



Sekrety

ANTYKWARIUSZA

CZY W RAJU PACHNIE KURZEM?

Biblioteka
SŁÓW

FRANK 112
Salvador was of this variety—not was he
ing out
“You were a big help today!” he s
the PVC pipes hobbling like j
“Thank you, Father,”
aid by the charac
light and scree
trad

I haven't time to deal with all the
I haven't care about the scene on
s will be as beautiful as Neville Mar
ing selections from Vivaldi. Whereas I
ment" concert.
A in my Jeep down curve reads into Bes
p at Ingle's on The Center is all that I can

had seen
after all.

STANISŁAW KAROLEWSKI
VEL SZARLATAN

Sekrety

ANTYKWARIUSZA

CZY W RAJU
PACHNIE KURZEM?

Biblioteka
DŃ S Ł O W

Copyright © by Stanisław Karolewski, 2024

Copyright © Biblioteka Analiz, 2024

Autor: Stanisław Karolewski

Tytuł: Sekrety antykwariusza. Czy w rajach pachnie kurzem?

Wydanie pierwsze

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody wydawcy jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Redaktor prowadząca: Ewa Tenderenda-Ozóg

Redakcja i korekta: Dream Team

Projekt okładki: Poziomka Studio

Zdjęcie na okładce: Natasza Karolewska

Opracowanie graficzne i skład: TYPO 2 Jolanta Ugorowska

Druk: Totem.com.pl

Tekst powstał w ramach Stypendium Artystycznego Prezydenta Miasta Wrocławia

Wrocław miasto spotkań

Warszawa, 2024

ISBN 978-83-969989-2-7

Wydawca:

Biblioteka Analiz

ul. Mazowiecka 6/8

00-048 Warszawa

tel. 22 828 36 31

ww.biblioteka-slow.pl

[Facebook.com/bibliotekaanaliz](https://www.facebook.com/bibliotekaanaliz)

[Facebook.com/WydawnictwoBibliotekaSlow](https://www.facebook.com/WydawnictwoBibliotekaSlow)

*Antykwariuszem można zostać wyłącznie z powołania.
Są jednak powołania dobre i złe.
Złe są wtedy, gdy powołuje nas forsą.
Dobre, gdy ta forsą to numizmaty.*

„Ciemność”

Stanisław Karolewski

DZIEŃ PIERWSZY

Pierwsze, co w życiu pamiętam, to ogrom odcieni bieli. Od śnieżnej – świeżo wydrukowanych kart, przez biel kredową i gipsową, aż do beżów i żółci – książek starszych lub niestarannie wydanych. Niektóre tomy spójne, inne – wydawane za ciężkich dla książek lat powojennych – w tygrysie paski, niejednolite, złożone z poszytów drukowanych na różnych papierach; głównie piaskowe odcienie wpadające niekiedy w brązy i żółcie, aż po szarości książek mnogich od tablic z ilustracjami, ciętych „ze spadem” lub po prostu przyprószonych warstwą kurzu, który na zawsze zmieniał kolor papieru – nawet jeśli się weń dmuchnęło i rozchodził się tysiącami drobinek tańczących w świetle słońca wpadającego przez potężne kamieniczne okna.

Mam ze dwa, może dwa i pół roku, stoję na dębowym parkiecie pachnącym pastą do podłóg. Zadzieram głowę, przypatrując się książkom – w tym wieku już doskonale wiem, czym jest ten prostokątny przedmiot i do czego służy. Na krześle leży sarta, tuż obok stoi biblioteka z wypadającymi drzwiami, w której książki – w odróżnieniu od krzesła, na którym leżały – stoją już normalnie, tj. grzbietami do przodu. Słyszę kroki dziadka, bierze mnie na kolana, coś mówi. Dziś wyobrażam sobie, że powiedział:

– Popatrz, Stasiu, to książka o rajskich ptakach. Zobacz, jakie mają kolorowe skrzydła.

A ja już na zawsze zapamiętuję, że raj wygląda niepłowiejąco farbą drukarską i pachnie kurzem, i że wyobrażenie dalekich podróży może być ciekawsze niż sama podróż.

W kolejnych latach odkrywam bloki książek wybarwione przez intrologatorów: jednolite – żółte lub czerwone, marmurkowe – z siecią przecinających się żyłek i nakrapiane jak przepiórcze jaja. Grupuję je, szukając podobieństw: niebieskie na jedną stertę, odcienie czerwieni na drugą – niektóre są karminowe, inne bardziej malinowe. Marmoryzacji i nakrapiania nie sposób porównać – gest intrologatora wyznaczył ich wielkość i częstotliwość.

Ten lot w przeszłość przerywa mi kobieta, która przynosi do kasy trzy tomy Irwina Shawa w twardych okładkach i obwolutach za dwadzieścia złotych za komplet.

– Nie mogłoby być taniej? – pyta.

DZIEŃ KOLEJNY

Dwie leciwe damy w kapeluszach wchodzą do antykwariatu z książką wyjętą z kartonu stojącego na dworze, słyszę ich rozmowę:

owę:

– Nie chciałaś kwiatków dla męża kupić, a kupisz książkę?

– Nie nadawały się na cmentarz.

Agnieszka kataloguje książki z ostatnich zakupów. Wśród nich jest album pt. „Wyspy egzotyczne”. Na widok lazuruowych wód i słonecznych plaż rozmarza się i mówi:

– Może byśmy gdzieś pojechali...

– No, możemy – odpowiadam – po pracy do Lidla.

DZIEŃ KOLEJNY

Dziś przed pracą powiedziałem coś do Agnieszki i zdumiałem się – dzięki porannej chrypcie z moich ust wychodził piękny, niski, męski głos, a nie ten pisk, którym posługuję się na co dzień. Postanowiłem chwycić byka za rogi i wykorzystać okazję. Nagram audiobooka – pomyślałem. Przeczytam swoje opowiadanie, wybrałem niepublikowany jeszcze „Ocean”. Świetnie mi szło przez 28 minut i 32 sekundy, wydobywałem z siebie prawdziwie radiowe dźwięki, zasepleniłem tylko ze trzy razy i tyle samo razy musiałem powtórzyć niewyraźnie przeczytane słowo – naprawdę dobry wynik. Ze dwa razy przestawiłem jakieś słowa, mówiąc z pamięci, a nie czytając z monitora, ale spodziewam się, że słuchacz nie zauważy różnicy między „już tu” a „tu już” – co innego w tekście, który sam czyta – nienawidzę, gdy redaktorzy zmieniają mi kolejność słów. Wciąż było wczesnie, więc postanowiłem posłuchać tej swojej aksamitnej chrypki – i nic. Cisza. Odpałiłem nagranie z rejestratora dźwięku, real playera, vlc media playera. I nic. Pusta kreska – 28:32. Zacząłem szukać ustawień mikrofonu i cóż... Okazało się, że w tym laptopie nie mam mikrofonu. Żegnaj, chrypko. Witajcie, 28 minut i 32 sekundy nieskalanej ciszy.

DZIEŃ KOLEJNY

Dzień zaczął się niepozornie od kilku maili z pytaniami o pozycje z naszego katalogu. Po godzinie przyszedł znajomy bibliofil – starszy mężczyzna, dla którego zawsze mam czas. Wypiliśmy herbatę, omawiając życie antykwaryczne w kraju – dzięki częstym wizytom u kluczowych polskich antykwariuszy

zna się na rzeczy... (Nie napiszę przecież, że mój ulubieniec roznosi plotki).

Po południu kręciło się sporo młodzieży, wybierali literaturę popularną, a bliźniacy na wycieczce szukali fotografii lotniczych Wrocławia. Był też pan Piotr – zaprzyjaźniony mecenas, który, gdy zaproponowałem mu cenę za dwie torby książek historycznych, przytargane przez niego na raty, jak zawsze odpowiedział:

– Oczywiście, proszę pamiętać, że ja nie przychodzę tu po pieniądze.

Co do tego pana mieliśmy kiedyś podejrzenia, że gdy antykwariat miał kłopoty finansowe, kupował książki specjalnie po to, żeby nas podratować... Ale to zupełnie inna historia.

Dzień kończymy szybką wizytą u klientki. Przez telefon powiedziała, że likwiduje mieszkanie po babci i ma trochę szkła i porcelany oraz staroci. W drodze łądujemy w korku – to dziwne przed dziewiętnastą, ale objeżdżamy go bocznymi uliczkami i tuż przed umówioną godziną parkujemy naprzeciwko wejścia do kamienicy. Drzwi otwierają się bez zbędnych pytań. Wewnątrz witają nas napisy na ścianach, spod których przebijają jeszcze resztki dawnych stiuków, oraz przedwojenne posadzki – gdzieśgdzie uzupełnione brązowymi, współczesnymi płytkami.

Wspinamy się na kolejne piętra, a gdy docieramy na sam szczyt, gospodyni już stoi w drzwiach i wita nas słowami:

– Wysoko, no nie?

– Wysoko – odpowiadamy nad wyraz zgodnie.

Z klatki schodowej wchodzi się od razu do kuchni – widać, że mieszkanie jest w likwidacji. Witają nas puste półki i sterta kartonów oraz worków, po podłodze walają się śmieci.

– Tu zaczniemy – mówi gospodyni i otwiera kredens, w którym pozostawiła trochę szkielek i porcelany. Jest tam wszystko, pełen miszmasz: od pojedynczych sztuk poobtłukiwanej przedwojennej porcelany czeskiej i niemieckiej, przez fragmenty PRL-owskich zastaw, po marketową chińszczyznę i „wystawki”. Wybieram przedwojenną „chińszczyznę” z Tiefenfurtu i talerz z widokiem z Pragi Moritza Zdekauera, ze szkła – uranową miseczkę.

Przechodzimy „na pokoje”, mijając otwarte drzwi do łazienki – przejście jest zablokowane przez wielką pralkę, którą ktoś chyba porzucił w pół drogi, zastanawiając się, jak przecisnęła się wcześniej przez wąską framugę. Z salonu ucieka partner właścicielki, półnagi wychodzi na balkon z paczką papierosów.

– Może coś z obrazów? – pyta kobieta.

Ciężko dostrzec fragment wolnej ściany. Całą przestrzeń wypełniają „święte” obrazy. Od niemieckich oleodruków, po zdjęcia Jana Pawła II i kalendarz Radia Maryja sprzed kilku lat. Witryny są zastawione podobnym rozgardiaszem jak w kuchni, ale jest więcej szkielek, z których wybieramy żardnierę z Huty Niemen, bombonierę „zwierzaki” z Ząbkowic Śląskich i kolorowe patery, kilka porcelanowych filiżanek z Tułowic, jakieś kieliszki – niewiele warte, ale ujmujące swą różnorodnością, i obtłuczony kubek z bajkami Polski Ludowej. W sumie ława, na którą kładziemy wybrane przedmioty, zapełnia się w trzech czwartych.

Gospodyni zachęca:

– Czego państwo nie wybiorą, wyniosę na śmietnik.

Dobieram więc jeszcze przykrywkę od bombonierki z kurą – wcześniej ją pominąłem jako dekomplet, ale wobec powyższego argumentu nie pozostaję obojętny. Zastanawiam

się jeszcze nad Włocławkami, ale wiem, że zachęty tego rodzaju mają jednak prowadzić do podbicia ceny, a niekoniecznie do rzeczywistej zagłady tych przedmiotów. Zbliża się dwudziesta, do pracy wyszedłem rano, przed ósmą, więc perspektywa ostatniego piętra w kamienicy także nie motywuje do nieumiarkowania w zakupach.

Przed regałem i po jego bokach stoi jeszcze kilka wspomnianych przez telefon staroci: prawidła do butów, wentylator, brudny samowar, maszynka do golenia.

Wracam do ławy, jeszcze raz szacuję cenę poszczególnych przedmiotów i proponuję kwotę. Spadkobierczyni jest wyraźnie zaskoczona, spodziewała się sporo mniejszej sumy, szybko wyjmuje dowód i siada przy ławie z Agnieszką, żeby spisać umowę. Ja w tym czasie owijam zakupy i je pakuję. Przed nami było jeszcze około stu dwudziestu schodów – na których tym razem udało mi się nie potknąć.

DZIEŃ KOLEJNY

W moim rodzinnym domu książki się czytało. Pasjami. Godzinami. Na krześle, przy stole, biurku, komodzie, w fotelu, czasem na parapecie lub podłodze. Przy jedzeniu i w kąpie-li. W drodze do szkoły – a oddalona była o kilkaset metrów. W łóżku, a nawet przed telewizorem. Wraz z nauką czytania następowała nauka podzielności uwagi – tak, by i obejrzeć „Wieczorynkę”, i przelecieć kilka stron „Gucia i Cezara”. Do dziś cenię sobie tę umiejętność, gdy żonie zbiera się na rozmowy, a zbiera się jej zawsze, gdy tylko widzi mnie z książką w ręku.

Książki były wszędzie – w każdym pomieszczeniu. Rodzina protestowała wobec tych zostawianych w łazience, ale

wynajdowałem kolejne skrytki pozwalające cieszyć się lekturą podczas prozaicznych czynności dnia codziennego: takich jak mycie zębów lub włosów. Umycie wanny nie mogło się odbyć bez rozdziału przygód Kmicica lub Mikołajka.

Wolne półki w mieszkaniu wyczerpały się na długo przed moim przyjściem na świat, ciągle należało więc dokonywać trudnej ekwilibrystyki – by zmieścić nowe tytuły. W grę wchodziło ścieśnianie ubrań, wyniesienie do piwnicy zawartości pawlacza, do którego można było włożyć zawartość szafy, do której można było załadować książki z dolnej półki, na którą można było przenieść książki z półki wyższej – i już pod ręką leżały zdobyte właśnie tytuły. Należało gorsze książki wypierać lepszymi, a te pierwsze ścieśniać coraz bardziej i przerzucać na półki mniej dostępne, ukryte za wersalką, lub układać je pod łóżkiem: w skrzyni na pościel.

Standardowym powitaniem, gdy ktoś do nas przychodził po raz pierwszy, nie było „dzień dobry” czy „cześć”, ale: „Boże, ile książek”.

Dziś zawołałbym raczej: „Boże, czego tam nie było!” – od serii książeczek „Poczytaj mi, mamó”, po rozprawy filozoficzno-matematyczne, od tanich współczesnych wydań kieszonkowych, przez XIX-wieczne albumy i niemieckie encyklopedie, po radziecko-angielskie wydania klasyki. Na półkach można było znaleźć książki ilustrowane rękami mistrzów i katalogi pełne fotografii produktów, przywiezione zza „żelaznej kurtyny”. Te wszystkie późniejsze „Quelle” i „Bonpriksy” to było drugie wyobrażenie o raj: zabawki, których nie można było osiągnąć, kobiety równie niedostępne – modelki prezentujące bieliznę, przypominające anioły – tak niepodobne do rasy kobiet, która zamieszkiwała wokół, do tych wszystkich siermiężnych sklepowych, cioc i sąsiadek, mam kolegów

i nauczycielek. Te lepsze, choć papierowe, wersje również pachniały kurzem. I jak wszystko z tamtej genialnej epoki przepadły w pomroce dziejów, do czego barbarzyńsko przyłożyłem rękę, działając w zamroczeniu umysłowym nastoletwa: wymieniałem je na pieniądze – na skupie makulatury – za które kupowałem świeżo wydrukowane książki – tak wtedy wabiące.

Parę lat temu w sprawie upadającego krakowskiego antykwariatu wypowiedział się prof. dr hab. Grzegorz Nieć – profesjonalny badacz rynku antykwarskiego. Zrobił to na łamach prasy, krytykując właścicieli antykwariatu m.in. za przetrzymywanie na półkach takich bezwartościowych katalogów. Gotów byłem rzucić wszystko i pędzić do Krakowa w poszukiwaniu utraconego dzieciństwa. Gdybym jednak rzeczywiście natrafił na jeden z tych nic niewartych katalogów, nigdy bym go nie otworzył, przejechałbym paznokciem po kredowym papierze, wpatrzył się w okładkę i znów ruszył w podróż wehikułem wspomnień, nie narażając się na zawód, jaki niechybnie przyniosłyby mi jego karty, niekryjące już w sobie wglądu do innych światów i tamtych dreszczy.

Mieszkanie w bloku wypełniały książki kupowane przez kilkadziesiąt lat, dostawane na wszelkie możliwe okazje, znajdowane nie tylko w księgarniach i antykwariatach, ale i na kiermaszach, cepeliadach, wygrywane w loteriach, wygrzebywane pod śmietnikami i na skupach makulatury. A wszystko wciąż „w czytaniu” – przez dzieci, wnuki, ludzi o różnych poglądach i intelektualnych horyzontach. Ciągłe w ruchu, przekładane, przeszukiwane przez liczną rodzinę i jeszcze liczniejszych:

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

